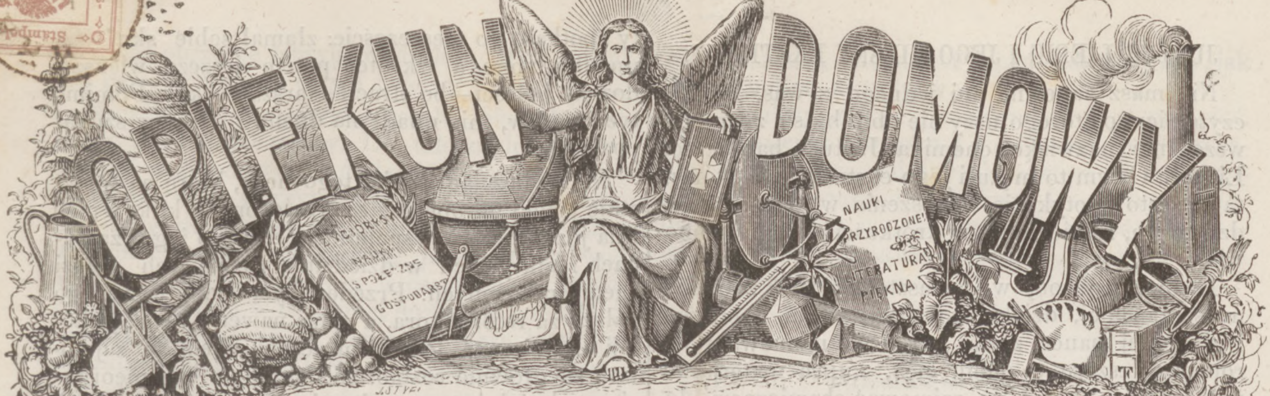
OPIEKUN DOMOWY



Warszawa dnia 15/27 Maja 1868 roku.

Nr 21. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. I. kwartalnie. Rok IV.

Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715.



Justus Liebig.

JUSTUS LIEBIG I JEGO MIĘSNY EKSTRAKT.

Nie masz zapewne ani jednego z was, łaskawi czytelnicy, o którego uszy nie obiłoby się znane powszechnie nazwisko chemika Justusa barona von Liebig. O tym to mężu i jego ekstrakcie, o którym tak często spotykacie ogłoszenia w pismach codziennych, zamierzamy w krótkości z wami pomówić.

Liebig, urodzony w Darmsztadzie 1803 z rodziny mieszczańskiej, dzięki osobistym swym zasługom i głębokiej nauce, został w r. 1845 mianowany baronem. Jeszcze w domu ojca, kupca materjałów aptecznych, począł się zajmować chemicznemi doświadczeniami, a gdy w szkole zapytał go raz surowo jakiś nauczyciel łacińskiego języka: „Co z niego będzie" Młody Justus odrzekł: „Chemik"—A więc jedno i to samo co nic!"—odrzekł nauczyciel, ani domyślający się jak świetną przyszłość chemja ma przed sobą. Oddany na naukę do aptekarza, czując w sobie pociąg do wyższych nauk, grzy pomocy przyjaciół, porzucił zawód farmaceuty i wstąpił na uniwersytet najprzód w Bonn, a potem w Erlangen, gdzie przebywał od r. 1819—1822. Zwierzchność uniwersytecka oceniając jego zdolności, wysłała go kosztem rządowym do Paryża, gdzie do 1824 r. kształcił się pod takimi chemikami jak Gay-Lussac i Dumas [1]). Tu znakomitą swą rozprawą: o kwasie piorunowym, rozprawą—którazbogaciła naukę i technikę, zwrócił uwagę Humboldta, jednego z największych ludzi dziewiętnastego wieku. Genjalny ten mąż nie tylko ułatwił mu wstęp do wszystkich laboratorjów i instytutów w Paryżu, ale nadto, wyjednał dlań posadę nadzwyczajnego professora w Giessen, gdzie w parę lat później, 1826 r., został professorem zwyczajnym. Tutaj wsparty opieką i pomocą rządową, urządził pierwsze w Niemczech obszerne laboratorjum chemiczne, na wzór którego powstały później inne niemieckie laboratorja; w tem to laboratorjum dokonał Liebig mnóstwo odkryć i wynalazków, które szeroko po świecie sławę jego rozniosły. Do nieznanego prawie przedtem uniwersytetu giessenskiego, cisnęła się młodzież ze wszystkich krajów a nawet z dumnej Anglji, która niezawsze jest sprawiedliwą względem zasług cudzoziemców. Najzdolniejsi młodzi chemicy zjeżdżali się do Giessen, by się uczyć pod kierunkiem Liebiga, przyjmować udział w jego pracach, a następnie za pomocą samodzielnych badań i odkryć, utorować sobie drogę do sławy i majątku. W ciągu dwudziestu kilku lat, w małem Giessen więcej zrobiono odkryć w dziedzinie nadewszystko chemji organicznej, aniżeli na całym świecie. Uczniowie jego roznieśli światło nauki po wszystkich krajach, a w Niemczech nie masz ani jednego uniwersytetu, w którychby nie było professorów ze szkoły Liebiga.

W r. 1850, nie mogąc wyjednać u władzy miejscowej pewnych ustępstw dla dobra nauki, przyjął posadę professora w uniwersytecie Hejdelberskim, a w parę lat później objął katedrę chemji w Monachjum, na której dotąd pozostaje. Następnie mianowano go prezesem akademji nauk i głównym konserwatorem zbiorów naukowych. Przed kilku laty spotkało go nieszczęście: złamał sobie skutkiem upadku nogę, a wkrótce potem jeszcze większej doznał boleści—bo stracił starszą córkę. Pomimo tych ciosów, nie upadł na duchu i w pracy szukał pociechy.

Nie wyliczając tu dzieł tego męża, które na wszystkie języki europejskie są przełożone, a kilka z nich i na język polski, wspomnimy raczej o jego zasługach i odkryciach w dziedzinie rozmaitych gałęzi chemji położonych. Przedewszystkiem uważać go należy za reformatora, a może nawet i twórcę chemji organicznej. Przedtem uczeni chemicy zajmowali się głównie rozbiorem i składem ciał nieorganicznych, jak kruszcze, kamienie, gazy, płyny i t. d. Liebig przeciwnie, całą swą uwagę wytężył na poznanie składu ciał organicznych, to jest roślinnych i zwierzęcych. W skutek tych badań ulepszył i udoskonalił metodę rozbiorów chemicznych, zbadał kwas piorunowy i wszystkie niemal kwasy organiczne, oznaczył składowe części moczu, mięsa, alkoholu, ważne spostrzeżenia poczynił w dziedzinie fizyologii roślinnej i zwierzęcej, wiele radykalnych ulepszeń zaprowadził w rolnictwie i przemyśle, wynalazł sposób robienia extraktu mlecznego i mięsnego, oraz wiele innych poczynił odkryć drobnych na pozór, ale dla nauki lub przemysłu mających znaczenie.

A teraz słówko o mięsnym ekstrakcie. Przed kilkunastu laty zrobił Liebig wyciąg z mięsa, który zdawało się że będzie miał świetnąprzyszłość przed sobą. Na otrzymanie jednego funta takiego ekstraktu potrzeba 40 funtów wyborowego mięsa, ale z jednego funta ekstraktu zrobić można około 200 porcji rosołu. Dobrze przyrządzony ekstrakt można bez zepsucia przechowywać 8—15 lat, jak się o tem sam Liebig przekonał.

Ekstrakt ten nadewszystko byłby przydatny w miejscowościach takich, gdzie mięso świeże skutkiem drożyzny, nie dla wszystkich jest dostępne. Nie mniej ważne mógłby oddać usługi w szpitalach i podróżach. To też Niemcy nadewszystko poczęli szeroko po świecie sławę jego roznosić i wówczas już nawet go używali, gdy stosunkowo bardzo jeszcze był drogi: uncję bowiem takiego ekstraktu płacono około 70 kopiejek. Dziś, dzięki coraz większemu zapotrzebowaniu ekstraktu cena, jego tak dalece spadła, że u nas porcja rosołu ekstraktowego tylko 2 kop. kosztuje, funt zaś angielski 4 ruble kop. 30.

Zważywszy z jednej strony nadzwyczaj wielką ilość mięsa, którą ekstrakt ten pochłania, a z drugiej stosunkową jego taniość—łatwo przyjdziem do przekonania: że w tych tylko okolicach produkować go można, które obfitują w bydło. To też Liebig w ciągu 15 lat napróżno starał się skłonić kapitalistów Podola, Południowej Ameryki i Australji, do fabrykacji tego produktu na wielką skalę. Dopiero roku 1862 zjawił się u niego w celu porozumienia się inżynier Gibert, który kilka lat spędził w Południowej Ameryce w Uragwaju, gdzie zabijają tysiące wołów i owiec li tylko dla skór i tłuszczu, a mięso wrzucają powiększej części do rzek. Gibert nauczył się u Liebiga wyrabiać ekstrakt mięsny i w r. 1863 wrócił do Uragwaju, zkąd w początkach 1865 r. przysłał na próbę 80 funtów wołowego, a 30 funt. baraniego mięsnego ekstraktu, który Liebig znalazł zupełnie dobrym; od tego to czasu datuje się upowszechnienie produktu. W Ameryce zaczęły po-

[1]) Nie jest tu wcale mowa o znakomitym Aleksandrze Dumasie francuzkim powieściopisarzu, którego utwory znane są w całym świecie.

wstawać obszerne fabryki ekstraktu, ztąd produkt ten rozchodzi się po całym świecie.

Sposób przygotowywania rosołu z ekstraktu mięsnego jest bardzo prosty. Do talerza lub filiżanki gorącej wody, dosyć jest dodać $1/3$ część łyżeczki od kawy ekstraktu i przyprawić go z solą lub pieprzem; niektórzy dodają jeszcze żółtko od jajka. Chcąc zaś mieć rosół smaczniejszy, potrzeba do wody w której się wygotowała włoszczyzna z kośćmi, dodać ekstraktu w tej samej dozie jak poprzednio. Zresztą ekstrakt ten z korzyścią może być użyty do zaprawiania wszelkich zup, barszczów i t. d.

Czy jednak ekstrak mięsny rzeczywiście osiąga cel, dla którego go wyrabiają? to jest czy może zastąpić w zupełności mięso?—owóż pytania, żywo poruszające chemików tegoczesnych. Skład chemiczny mięsa i ekstraktu najlepiej kwestję tę wyjaśni. Najważniejsze składowe części mięsa, które najposilniejszą część jego stanowią, są następujące: włóknik albo fibryn; białko, własnościami zbliżone do białka jaja, bardzo posilne; wreszcie galareta; glutyna czyli klej; tłuszcz; oraz niewielka ilość cukru i mineralnych soli. Ekstrakt mięsny, który jak wiadomo otrzymuje się z mięsnego odwaru, te tylko może zatrzymać składowe części mięsa, które się rozpuszczają w wodzie i nie wydzielają się z roztworu przez wyparowywanie. Przy wyrabianiu z mięsa ekstraktu, w wodę przechodzi tylko część ciał białkowych, lecz i ta w miarę dłuższego gotowania, odrzuca się z szumowinami; a ekstrakt mięsny tem jest lepszy i tem się dłużej zachowuje, im mniej posiada białka, najlepszy nawet ekstrakt zupełnie posiadać go nie powinien. Ekstrakt więc mięsny nie posiada tych powyższych części mięsa, dla których właśnie jest ono używane, t. j. nie ma w nim włóknika i białka, i ztąd pod żadnym względem mięsa zastąpić nie może. Błądzą więc ci, którzy ekstrakt poczytują niby za treść wszystkich pożywnych części mięsa. Używając li tylko samego mięsnego ekstraktu za pokarm, można tak dobrze umrzeć z głodu jak żywiąc się np. czystą herbatą.

Cóż więc takiego przechodzi do mięsnego odwaru; z mięsa przy wyrobieniu ekstraktu, skoro najpożywniejsze jego części zostają prawie odrzucone? Oto: 1) pewna ilość kleju (glutynu), 2) tak zwane istoty ekstraktowe, 3) roztworzowe sole i 4) pewna ilość tłuszczu. Pomienione zaś istoty czyli ciała ekstraktowe, składają się: z kreatiny, bardzo do niej podobnej kreatininy, pewnego rodzaju cukru i kilku kwasów, jak mlecznego, octowego, mrówczanego i t. d. Te to ciała głównie nadają charakterystyczny smak i przyjemny zapach mięsnemu buljonowi. Nie cała jednak ich ilość w mięsie zawarta, przechodzi w ekstrakt. Przy wyrabianiu bowiem ostatniego głównie o to się starają, by w skład ekstraktu wchodziła jak najmniejsza ilość galarety, tłuszczu zaś by zupełnie nie było — czynią to i dla nadania trwałości ekstraktowi i dla tego, by się lepiej w wodzie rozpuszczał. Tym sposobem w gotowym kupnym ekstrakcie, zawiera się tylko cząstka roztworzonych części mięsa i wymienione wyżej ekstraktowe ciała, grające bardzo podręczną rolę w procesie odżywiania.

Zważywszy to wszystko przyjdziemy do przekonania, że ekstrakt mięsny nie tylko mięsa zastąpić nie zdoła, ale nawet mniej jest pożywny jak dobry buljon zwyczajny.

Nie należy jednak bezwarunkowo go potępiać. Dzięki swemu łatwemu i zupełnemu rozpuszczeniu się w wodzie, mięsny ekstrakt może być użytym do przyrządzania dobrego i smacznego buljonu, i mógłby w wielu razach znaleść zastosowanie w gospodarstwie domowem, gdyby nie dość wygórowana jego cena. *Mścisław Kamiński.*

PANTERA.

(Legenda średniowieczna).

Z długiej pielgrzymki, środkiem pustyni,
Wracał pustelnik do swej jaskini—
I jęk przeciągły posłyszał zdala.
Tkliwie się serce jego rozżala,
Chce nieść bliźniemu usługi szczere,
Lecz nie człowieka — ale panterę
Grotem przeszytą obok postrzega....
Więc i tej bestji w pomoc przybiega,
Wyjmuje strzałę, ból maścią koi,
Wodą ze swej flaszy spragnioną poi....
A gdy cierpienie jej ułagodzi,
Ku swej jaskini zwolna odchodzi.

W kilka dni potem, o wschodzie słońca,
Kiedy pustelnik rad z nocy końca,
Jaskini swojej wejście otwiera,
Stawi się u nóg jego—pantera,
A w paszczy żywą owieczkę trzyma,
I dobroczyńcę błaga oczyma,
By dar ten przyjąć łaskawie raczył,

Zdumiał się Święty—lecz gdy zobaczył,
Że z wdowiej trzódki owca ta była,
Że łza sieroca dar ten obmyła,
Korną panterę karcił łagodnie
I grożąc palcem—wyrzucał zbrodnię....
Aż zawstydzona—u jego ręki
Łup swój złożyła z drżącej paszczęki,
Jakby pojmując przyjętą karę,
Że z cudzą krzywdą, niosła ofiarę....

Błogie to wieki—gdy i zwierzęta
Zdołała wzruszyć—moc słowa święta.

Jan Prusinowski.

NA GORĄCYM UCZYNKU.

Kartka z kroniki kryminalnej.

(Ciąg dalszy.—patrz N. 20-ty).

Kiedy bohaterowi tego opowiadania zwracano odebrane mu pieniądze, widok i brzęk złota zwrócił na siebie uwagę tego pana. Zbliżył się on do Opędzkiego i zawiązał z nim rozmowę.

— Jakkolwiek nieznany panu jestem — rzekł, — miło mi powinszować pomyślnego końca tej sprawy, gdyż po tem złocie domyślamy się, że to na pana powzięto niesłuszne podejrzenie w sprawie zabójstwa na Topielu.

Opędzki się skłonił i odpowiedział słów kilka, a tymczasem nowoprzybyły zaczął się bacznie przypatrywać leżącemu na stole złotu. Czoło jego zmarszczyło się konwulsyjnie, starał się jednak ukryć ten nagły ruch muskułów i bacznie powoli brał w rękę i oglądał każdą sztukę. Im dalej szedł w tym przeglądzie, tym czynił go staranniej i powolniej, rysy jego poważniały widocznie, zdawało się, że się namyśla i walczy z sobą.

Trwało to tak długo, aż Opędzki niecierpliwić się zaczął.

— Panie — rzekł, — w innym razie byłoby to niegrzecznem z mojej strony, żebym panu przeszkadzał przyglądać się tym pieniędzom, w istocie dość rzadkim u nas. W tej chwili jednak sam pan pojmujesz jak mi się spieszyć musi odetchnąć nieokratowanem powietrzem i zechcesz mi pan wybaczyć, że...

To mówiąc sięgnął ręką po pieniądze ażeby je zebrać i schować.

Nieznajomy urzędnik powstrzymał go delikatnym ale stanowczym giestem.

— Przepraszam pana—odrzekł,—że go o chwilkę cierpliwości prosić muszę. Chciej mi pan wierzyć, że te pieniądze nie z próżnej ciekawości oglądam. Sprawa zabójstwa popełnionego na Topielu, skończona *jak się zdaje* dla pana, dla mnie jest dopiero zaczętą. Obowiązkiem moim jest zwracać uwagę na wszystko, co mi posłużyć może do wykrycia osoby zabitego i śladów zabójcy....

Wyrazy „jak się zdaje” wyrzeczone zostały z jakimś przyciskiem, który niemile uderzył naszego bohatera.

— Wątpię, żeby widok tych pieniędzy mógł w tem panu na co posłużyć, — odparł z pewnem zniecierpliwieniem.

Urzędnik powoli kończył swój przegląd, nie odpowiadając na tę uwagę, następnie raz jeszcze i tą razą prędzej nieco, przejrzał wszystkie sztuki złota jakie Opędzkiemu zabrano, i dopiero wtedy się odezwał:

— Smutno mi, że panu może przykrość zrobię, panie Opędzki.

— Zatrzymasz pan to złoto przez czas jakiś jako potrzebne do dalszego śledztwa?.... Jeżeli tak jest, nic nie mam przeciw temu. Wiadomo panu zapewne, że to nie ostatnie moje pieniądze i że na tę drobnostkę poczekać mogę.

— Nie o to idzie panie, lecz mam panu zadać pytanie, na które pan zechcesz odpowiedzieć przez *tak* lub *nie*, a ostrzegam pana, iż odpowiedź pańska może mieć bardzo ważne następstwa.

— Ciekawym....

— Chciej mi pan powiedzieć — badał urzędnik zakrywając ręką leżące na stole złoto, — czy miałeś zwyczaj robić jakie znaki szczególne na pieniądzach będących w pańskiem posiadaniu.

Opędzki się uśmiechnął.

— Tylko o to idzie! — odpowiedział, — żądasz pan odpowiedzi stanowczej, więc odpowiadam panu: że nie i nigdy, a nawet nie rozumiem o jakich znakach chcesz pan mówić.

— Przypatrz się pan — mówił dalej urzędnik, — na każdym z tych półimperjałów znajduje się po obu stronach cyfry 5 niewielki krzyżyk, zrobiony jakiemś ostrem narzędziem.

Przejrzawszy pokazywane sobie sztuki złota, bohatér nasz odpowiedział:

— Prawda.

— Czyś pan robił te znaki?

— Mówiłem już panu, że nie ja.

— A więc, — odrzekł urzędnik zwolna i bystro patrząc w oczy poszlakowanemu, — powiedz mi pan jakim sposobem się to dzieje, że na półimperjale znalezionym u zabitego znajduje się taki sam znak.

Nagła bladość pokryła oblicze bohatera naszego.

— Co pan mówisz?—to niepodobna!—zawołał.

— Przekonasz się pan o tem natychmiast.

Na rozkaz urzędnika przyniesiono przedmioty, które znaleziono przy zamordowanym. Opędzki miał sposobność przekonać się własnemi oczyma, że to co mu mówiono, było prawdą najzupełniejszą.

— Sam wyznaję — rzekł po niejakim czasie, — że to jest zbieg nadzwyczajny.

— Zbieg, który pana oskarża.

— Który mnie oskarża, nie przeczę, jeżeli panowie macie dowód, ża te znaki już po mojem przyaresztowaniu przez kogo zrobionemi nie były.

— O! o! nie wchodź pan na tę drogę, bo ona za daleko prowadzi. Przedewszystkiem jest zasadą prawną, że sąd ma wiarę; jeżeli mu pan zarzucać zechcesz fałszowanie poszlak, nikt pana słuchać niebędzie. Z drugiej strony sam pan przyznasz, że w tem było niepodobieństwo materjalne. Pieniędze znalezione przy panu zostały opieczętowane natychmiast, otwierano je tylko w przytomności pańskiej, nikt więc nie mógł choćby nawet był kto taki coby chciał, czego nawet przypuścić niepodobna, dopuścić się tak zbrodniczego czynu. Jeżeli pan masz co innego na wytłómaczenie tego faktu, powiedz to.

— Nie mogę tłómaczyć rzeczy, których nie rozumiem — odrzekł Opędzki, — w każdym razie i ta poszlaka jest błędną, co się niezawodnie wyjaśni, jak się prawdziwy zabójca odkryje.

— Tym czasem jednak cięży ona na panu, i wypuszczonym być nie możesz. Śledztwo rozpocznie się na nowo.

Takim sposobem człowieka stojącego na progu wolności, wtrącić musiano na nowo do okratowanej celi, pod stokroć większem niż poprzednio zarzutem podejrzenia.

VI.

Jeżeli pierwsze śledztwo prowadzonem było z rzadką szybkością i energją, drugie poszło jeszcze prędzej.

Nie dostarczało ono żadnych nowych faktów, ale pod wpływem nowej strasznej poszlaki, na wszystkie poprzednie inaczej zapatrywać się zaczęto. Wszystko co się dotąd zdawało przemawiać na stronę obwinionego, mówiło teraz przeciw niemu.

Umysł ludzki jest dziwnie jednostronnym w badaniu prawdy. Choćbyśmy najsumienniej tego pragnęli, nigdy i nigdzie nie możemy się obyć bez jakiegoś przekonania powziętego z góry, *à priori*. Nie uznajemy w sobie, nie spostrzegamy niby tego naprzód utworzonego sądu, tej instynktownej opinji, mamy ją jednak i wszystko coby obalić ją mogło, przyjmujemy z niedowierzeniem, a wszystko co ją popiera z łatwowiernością.

Znaki na pieniądzach były dowodem tak potężnym, że odrazu podbiły przekonanie zajmujących się śledzeniem tej sprawy i choć zaprzeczyć im niepodobna, że najszczerzej pragnęli odkryć tylko prawdę, mimowolnie przecież szukali poparcia tego pryncypalnego dowodu i mimowolnie upatrywali go we wszystkiem.

Sprawa Opędzkiego była już od tej chwili przegraną.

Jeżeli nie chciał mówić — tłómaczono sobie, — gdzie przepędził wieczór, to dla tego, że gdyby powiedział gdzie był, okazałoby się iż będąc tam nie miał przy sobie złota, lub że przez ten czas czato-

wał na swoją ofiarę. Nie chciał iść z panem Fikszem i panem Kukulim do komisarza, tylko się sam iść deklarował lub na jednego z nich to zwalał, dla tego, żeby uciec. Oskarżał ich o zabójstwo, myśląc że temu oskarżeniu sprawiedliwość uwierzy, a cofnął to oskarżenie dla tego tylko, że zobaczył jak dalece było niedorzeczne. Nie bronił się aresztującej go policji ani nie uciekał, bo i tu zrozumiał, że toby się na nic nie zdało. Nóż wydobyty z rany ocierał własną chustką i chował go do kieszeni, bo ten nóż był jego własny i robi to z przyzwyczajenia. Nikt tego noża nie widział u niego, bo się z nim krył, oddawna już zapewne przemyślając zbrodnię. Przed sądem zachował się nieraz tak, że ze słów i uznań jego zdawało się przebijać niewinność—bo grał komedją.

W takiem świetle umysłom prowadzącym sprawę, wszystkie inne kroki poszlakowanego okazywać się zaczęły. Raz nabywszy przeświadczenia że winny, w niczem już niewinności dopatrzeć nie byli zdolni. Znaki na pieniądzach olśniły ich jak słońce, przy którem wszystko co przeciw nim mówiło bladło i gasło.

Pan Soter i pan Kukuli zawezwani raz jeszcze, znowu co do słowa powtórzyli to co poprzednio, zeznania ich jednak niesłychanie tą razą potępiały obwinionego; każde ich słowo przymierzone do nowej poszlaki, pasowało do niej jak najdokładniej.

Pozostawały jeszcze trzy fakta, które za niewinnością oskarżonego mówiły najsilniej i te jednak upaść musiały. *(Dalszy ciąg nastąpi.)*

CZARODZIEJSKA DOLINA.

(*Ciąg dalszy*,—patrz Numer 19-ty).

Jakoż w kilka dni potem, ruszyliśmy ku górze z całym domem weseli i szczęśliwi nie wątpiąc, że wyprawa nasza pożądany odniesie skutek. Gwarząc to o tem, to o owem, przypatrując się cudnie połyskującej przy blasku słonecznym górze, zatrzymaliśmy się wreszcie u wejścia do parowu. Tu odprzęgłszy konia, po krótkim wypoczynku spuściliśmy się w parów, szukając pomienionej sosny. Anna dostrzegłszy z wyniosłości kępę drzew podobnych z kształtu do sosny orzechowej, wskazała nam je ręką, a my pobiegliśmy w tę stronę, miotani naprzemian to niepewnością, to nadzieją. Wreszcie stanęliśmy pod jej konarami, a rozkoszna woń którą jej owoce wydawały, oznajmiała nam, że nadzieja nasza płonną nie była. Ziemia usłaną była szyszkami długiemi na półtora cala, ale wszystkie były próżne, bez nasion: niewątpliwie jakieś zwierzę musiało je ztamtąd wydobyć. Ale było ich jeszcze nie mało na drzewie, to też zerwaliśmy kilka i wyjąwszy z szyszek nasiona, skosztowaliśmy takowe.

— Tak, nie omyliłam się—zawołała moja żona klaszcząc w dłonie, jestto ta sama sosna, o której mówiliśmy. Będziemy używać jej nasion zamiast chleba, dopóki nie zbierzem kukurydzy i pszenicy w dostatecznej ilości.

Wieczorem wróciliśmy do domu z wozem do połowy napełnionym nasionami sosnowemi, z których tegoż samego jeszcze dnia, do wieczerzy, mieliśmy pierwszy od kilku tygodni wcale niezły chléb.

Ani jeden dzień nie upłynął, abyśmy nie mieli jakiegokolwiek zajęcia: to opierzaliśmy swój domek deskami; to grodziliśmy pola, jedno na zboże, drugie na paszę dla konia, aby się nie oddalał zbyt daleko i nie stał się tym sposobem pastwą zwierząt drapieżnych. Na zimę zabiliśmy kilku jeleni i parę łosiów, co powinno nam było wystarczyć do wiosny. Najwięcej jednak pracował Paweł, który wyrobił własnym pomysłem, bezpotrzebnych narzędzi, wszystkie prawie sprzęty gospodarskie, a nawet zrobił pług drewniany wcale nieźle orzący, bo ziemia była pulchna i miękka.

Obawiając się, aby szczupły zapas prochu naszego zupełnie się nie wyczerpał, polowaliśmy za pomocą oręża, który wcale nie gorzej nam służył aniżeli broń palna—tę ostatnią chowaliśmy na wielki jaki wypadek. Znaleźliśmy bowiem w lesie *drzewo łukowe*, t. j. pewien gatunek pomarańczowego drzewa, z którego Indjanie robią sobie łuki. Zrobiliśmy ich trzy: cięciwy przyrządziliśmy ze ścięgien jelenich, strzały zaś z trzcin, zakładając ostrza z kawałków niepotrzebnych żelaza, które mieliśmy z sobą. Przez całą zimę uczyliśmy się strzelać z łuku, a na wiosnę nieźle już władaliśmy tą pierwiastkową bronią. Najbieglejszym jednak był Boleś, który zaopatrywał spiżarnią swej matki w kuropatwy, wiewiórki jadalne, zające, oraz wyśmienite dzikie indyki.

Nie próżnowała też i Anna. W wycieczkach swoich botanicznych, w których naturalnie i my uczestniczyliśmy, odkryła kilka wielce pożytecznych roślin i owoców. Znaleźliśmy np. porzeczki, wiśnie i inne jagody, z których wielki zapas robiliśmy konfitur. Nie zabrakło nam też i korzeni jadalnych, a jeżeli nieźle przydała się nam rzepa indyjska, to nierównie większą radość sprawiło nam odkrycie dzikich kartofli. Odkrycie to stało się prawie przypadkiem, bo kartofle te były niezmiernie drobne i w tak małej ilości, że w stanie dzikim niepodobna było ich używać; mieliśmy jednak nadzieję, że uprawa wpłynie na polepszenie tej pożytecznej rośliny, co też i rzeczywiście się stało.

Z nasion akacji udało się nam zrobić wcale niezłe piwo, z winorośli zaś mieliśmy niezgorsze wino, którem pokrzepialiśmy swe siły po uciążliwej pracy, a mianowicie podczas długich zimowych wieczorów, gdy całe nasze kółko zgromadzone było u domowego ogniska.

W tymże czasie przyszło mi na myśl, że wielce pożyteczną byłoby dla nas rzeczą, przyswoić sobie rozmaite zwierzęta tak, aby zawsze je mieć pod ręką. Ku urzeczywistnieniu tego projektu wiele mnie przyczyn skłaniało; wiedziałem np. że jelenie w bardzo małej ilości w dolinie się znajdowały, a ich liczbę mogły jeszcze zmniejszyć lub całkowicie zniszczyć drapieżne zwierzęta, a nawet i my sami. Należało przeto myśleć o zabezpieczeniu tych pożytecznych zwierząt, rozciągając nad niemi wszelką możliwą opiekę. Umyśliliśmy więc założyć istny zwierzyniec pośród pustyni. Ja z Bolesiem mieliśmy łapać zwierzęta czworonożne, Witold zaś ptakom wypowiedział wojnę, gdyż i te ostatnie zamierzaliśmy przyswoić; że zaś Anna zajmowała się roślinami, ztąd każdy z nas miał osobny wydział. Ale Paweł za to bodaj najwięcej pracował: on to musiał grodzić zwierzyńce i ogrody, on robić klatki, sidła, pułapki i t. d. Naturalnie, że w każdej z tych prac i my braliśmy udział.

Boleś pierwszy rozpoczął łowy, łapiąc w sidła dwie wiewiórki szare. Zwierzątka te prędko się przyswoiły i w kilka już dni po ujęciu brały z rąk orzechy; nie przynosiły wprawdzie nam one żadne-

go pożytku, ale wielką rozrywkę dzieciom naszym sprawiały. Nie tak prędko Witoldowi udało się złapać dzikiego indyka, bo też to dziwnie ostróżny ptak! Ptasznik nasz nastawił sidła na sposób indyjski więc w kształcie zagrody, w pośrodku której kładzie się przynęta, ale indyki zdaleka ją omijały. Nauczył się doskonale naśladować głos tych ptaków, indyki zbliżały się wprawdzie, lecz w sidła nie weszły. Wreszcie ustawił w tych ostatnich na widoku zabitego wprzódy indyka tak, że zdawał się być żywym, a sam ukrył się w zaroślach i począł naśladować głos indyczy. Tym razem wybieg się powiódł i trzy indyki były owocem tego polowania. Z wielkim tryumfem przyjęliśmy w domu i ptasznika i ptaki przezeń złowione, ale cóż kiedy wszystkie trzy były to stare samce! Nazajutrz za to był szczęśliwszy: złowił bowiem indyczkę z indyczętami, których było ośmnaście sztuk! Tym razem tryumf był zupełny, to też ze śpiewem odnieśliśmy zdobycz do domu. Następnie jeszcze kilka indyków przybyło do naszych klatek.

Powoli też do zbiorów jego przybywały rozmaite mniejszego lub większego użytku ptaki, jak: sójka niebieska, słowik wirginijski, wilgi rozmaitych gatunków i dwie odmiany turkawek. Złapaliśmy też kilka papug i bardzo rzadkiego ptaka, którego Indjanie nazywają *wahon;* jest to amerykański ptak rajski, z wielu względów do azjatyckiego podobny. Nie brakło też i małego ptastwa rozmaitego rodzaju, pomiędzy którémi wszakże świetnością upierzenia, zgrabnością kształtów i drobniuchną swą objętością, prym trzymały kolibry. Witold złapał ich z tuzin i każde prawie innej odmiany. Codzień rano dawał im świeże kwiaty.

Tymczasem i Boleś nie próżnował: były u niego wszelkiego rodzaju wiewiórki, więc czarne, popielate, rude i t. d, te co skaczą tylko po drzewach i takie co biegają po ziemi. Z tych ostatnich mianowicie, jedna wiewiórka nie większa od myszy a pręgowana jak żebra, była ulubienicą naszych dziewczynek, które ciągle ją z sobą nosiły. Z pożyteczniejszych zwierząt, udało się mu złowić kilka zajęcy.

Jednego dnia Paweł przyniósł złowione w strumieniu ryby, nieznanego nam gatunku, ale bardzo smaczne, utrzymując, że strumień jest dosyć rybny. Nazajutrz tedy udaliśmy się rano nad brzeg strumienia zabrawszy z sobą wędki, których sznurek zrobiony był z włókien pewnego rodzaju konopi, a haczyki ze zgiętych szpilek. W drodze zabiliśmy a raczej Paweł zabił jeżozwierza, którego zachował sobie na obiad, twierdząc, że jadł nieraz jego mięso i znajduje je bardzo smacznem.

Wreszcie stanęliśmy nad brzegiem zatoki, w której podług Pawła największa miała się znajdować obfitość ryb. Anna z dziewczynkami usiadła na miękkiej murawie w cieniu, a my zapuściliśmy swoje wędki w wodę, cierpliwie oczekując aż ryba chwyci się za przynętę. Nie upłynęło pięć minut, gdy usłyszeliśmy lekki plusk wody w pośrodku małych kół co się na jej powierzchni utworzyły, ujrzeliśmy jakieś czarne punkciki dziwnie podobne do głów wężów. Jeden tylko Paweł nie dał się uwieść pozorom, gdyż nie jednokrotnie łapał te zwierzęta w Wirginji.

— Panie,—zawołał, w tej zatoce pełno żółwi!

— Żółwi?—powtórzył Boleś.

— Tak, panie Bolesławie, odparł Paweł, i gotów jestem pójść w zakład, że to są żółwie o miękkiej skorupie! A to jest daleko większy przysmak, aniżeli ryba, zwierzyna lub mięso.

Jakoż, gdy jedno z tych zwierząt podpłynęło bliżej, łatwo poznaliśmy, że należą one do rodzaju zwanego *trionyx*, poczytywanego istotnie za największy przysmak przez wszystkich smakoszów. Tym sposobem jeszcze jedna smaczna potrawa nam przybyła, cała rzecz tylko poległa na tem, jak go złapać. Właśnie zwróciłem się ku Pawłowi chcąc go spytać, jakim go sposobem zabić lub złowić, gdym uczuł, że za haczyk mojej wędki coś się uczepiło, sądziłem że to ryba, ale jakież było moje zdziwienie gdym wyciągnął na powierzchnię wody głowę żółwia! Nie był zbyt wielki więc wyciągnęliśmy go z łatwością na ziemię; aby zaś nie uciekł, Paweł przewrócił go poprostu grzbietem na trawę a nogami w górę. Jakkolwiek nie złapaliśmy tym razem więcej tych dziwnych zwierząt, ale ryb za to odnieśliśmy do domu niezły zapas.

Zima przeszła nam nadspodziewanie wesoło. Czas swój dzieliliśmy pomiędzy prace umysłowe i fizyczne, uprzyjemniając takowe rozmaitemi rozrywkami, że wspomnę tutaj przechadzki po dolinie i ślizganie się po zamarzłej powierzchni jeziora. Najwięcej czasu zabierały nam nasze zwierzęta, którym dostarczaliśmy codzień rano karmi, studjując przy tem ich obyczaje. Parę godzin spędzaliśmy też na nauce. Mając zaledwie kilka książek, których chłopaki moje na pamięć się prawie powyuczali, większą część nauki ograniczyć musieliśmy na opowiadaniu, o ile na to własna nam nasza pamięć pozwalała. Ja uczyłem ich tym sposobem historji, geografii i arytmetyki; żona wszczepiała w ich umysł prawdy religijne i moralne, oraz uczyła ulubionej swej botaniki, pozostawiając mi inne gałęzie nauk przyrodzonych. Nie mając papieru do pisania, uczyliśmy ich pisać zrazu na piasku, potem na pewnego rodzaju gładkiej korze; takim też sposobem i rachunki robiliśmy.

W długie wieczory zimowe siadywaliśmy dokoła ciepłego ogniska, to spożywając Boże dary, to gwarząc o tem co było i co będzie. Opowiadaliśmy dzieciom o Europejskich narodach, miastach i zwyczajach, powtarzaliśmy im i to cośmy widzieli, i to co tylko czytaliśmy lub od drugich słyszeliśmy. To znowu przenosząc się w przyszłość, marzyliśmy sobie jak będziemy nadal tu żyli, czy ztąd kiedy wyjedziem? jak i dokąd? A jeżeli tętsknota za krajem ciągnęła nas za oceany i morza—to z drugiej strony żal było tej czarownej doliny, żal chwil tutaj spędzonych!

Wśród takich to niewinnych zajęć, upłynęła nam zima.

Nie trwała ona długo; przy pierwszym brzasku wiosny, Paweł poszedł z pługiem w pole orać ziemię, na której posieliśmy zboże. Mieliśmy nadzieję, że za sześć tygodni zbierzem przynajmniej pięćdziesiąt wiertelów, nie licząc w to stu ziarn pszenicy, któreśmy w oddzielnem miejscu posiali. Anna także urządziła sobie ogródek, w którym posadziła kartofle dzikie i inne jarzyny znalezione w dolinie.

Piękne nasze łąki i niektóre drzewa rozkosznem okryły się kwieciem, które całą dolinę balsamiczną napełniało wonią. Korzystając z przecudnej pory roku, częste robiliśmy wycieczki to w las, to nad brzeg strumienia, zawsze prawie robiąc jakieś ważne odkrycie naukowe lub znajdując nową pobudkę do po-

dziwiania dzieł Stwórcy. Dla dzieci naszych, wycieczki te miały prócz tego i inny cel—nauczający: były to niby lekcje nauk przyrodzonych.

Podczas jednej z takich wycieczek, gdyśmy odpoczywali w pobliżu wspaniałych magnolji, Witold pobiegł ku nim ze swoją siostrzyczką chcąc ułożyć dla matki bukiet z kwiatów; ale zaledwie się oddalili, gdyśmy usłyszeli żałosny płacz Maryni. Przestraszeni w najwyższym stopniu, obawiając się aby jej nie ukąsiła jaka żmija, których tu nie brak, pobiegliśmy w tę stronę. Szczęściem, skończyło się wszystko na ukłuciu ręki żądłem pszczoły, których wkrótce wielką ilość pomiędzy kwiatami odkryliśmy. Było to więc dla nas nowe odkrycie, odkrycie niezmiernie ważne; gdzie są pszczoły, tam jest miód. Ale jak znaleźć drzewo, na którem te owady się zagnieździły? Rzecz to nie tak łatwa jak się zdaje: raz, że drzewa były wysokie—powtóre, że wielka ich ilość się znajdowała. Ale Paweł nasz znał się na tem wybornie i nazajutrz jeszcze postanowił szczęścia sprobować.

Był to dzień ciepły i pogodny — taki właśnie jakiego potrzeba do łapania pszczół. Po rannem śniadaniu, udaliśmy się wszyscy w las, ku wielkiej radości dzieci naszych a mianowicie Bolesia.

(D. c. n.)

CHLEB ŚWIĘTO-JAŃSKI.

Znane są wszystkim czarne, długie strąki, na straganach sprzedawane, które dla swego słodkiego smaku i niskiej ceny, przez dzieci zwykle nabywane bywają,— są owocem drzewa należącego do rodziny *Groszkowatych* i dorastającego wielkości naszego jesionu.

Drzewo to rośnie na Wschodzie, w Egipcie, Hiszpanji, w Neapolitańskiem, a nawet w południowej Francji. Liście ma złożone z dwóch lub trzech par: gładkie, owalne, tęgie, a kwiat czerwonawy, w licznych gronach wprost z gałązek wychodzący.

Drzewo to w naturze jest dość niekształtne, gałęzie ma pogięte, ale w ogrodach gdy nóż ogrodnika formę mu nada, miły dla oka stanowi widok. W krajach umiarkowanych jak u nas, w Niemczech i w północnej Francji, utrzymać się może tylko jak pomarańcze, cytryny, granaty i inne po oranżerjach hodowane drzewa. Wówczas, daleko wcześniej kwitnie niżeli w naturalnym stanie. Chleb Ś-to-Jański rozmnaża się przez przygięcie gałązek do naczynia napełnionego ziemią, lub też przez zasadzenie nasion które bardzo łatwo wschodzą.

W krajach gdzie rośnie dziko i dochodzi swego całkowitego rozwoju, drzewo to jest bardzo pożyteczne; najprzód dla swoich strąków, które mają 10 cali długości a jeden cal szerokości; są spłaszczone, podzielone wewnątrz na komórki poprzeczne, z których każda zawiera ziarnko twarde, lśniące, otoczone słodkim miękiszem. Smaczny i pożywny ten owoc stanowi podstawę wielu i bardzo lubionych na Wschodzie potraw. Krajowcy robią z niego sorbety, syropy podobne do naszego miodu i t. d. Jedzą oni także i świeże ziarnka; suszone zaś odmiękczają przed użyciem w wodzie. Karmią też i konie tem owocem zamiast owsem, drzewa bowiem wydające ten owoc rosną tam w obfitości i na najgorszym gruncie, a konie lubią to pożywienie i jest ono dla nich dostateczne.

W Algierze, z samego drzewa wyrabiają domowe sprzęty.

Osadnicy przesiedlający się dla poprawy swego losu do krajów południowych, gdy tam nie znajdują Chleba Ś-to-Jańskiego, starają się jak najprędzej zaprowadzić tam tak pożyteczne drzewo.

Jest mniemanie, że Sty-Jan temi właśnie strąkami żył na puszczy.

Białodrzew.

ROZMAITOŚCI.

— **Szkice humorystyczne.** Różne są drogi do nauczania ludzi; moralizowanie jak wiadomo, nie zawsze trafia do celu. Jedną z nader dzielnych broni przeciw wadom społecznym jest okrycie je śmiesznością, co nazywamy karykaturą; przedmiot wyśmiany ale zręcznie bez żółci, traci na znaczeniu i odstręcza od siebie. Im wstręt silniejszy, tem większy skutek należy przyznać środkowi.

W naszej literaturze kilka mamy tego rodzaju moralistów. Dzisiaj wspomnimy o jednym z nich p. *Leonie Kunickim*, a to z powodu świeżo wydanych przezeń *Szkiców humorystycznych rysunkowych i literackich*. Szkiców pierwszych jest ośm, drugich pięć. Jedne drugim nie odpowiadają prawie zupełnie, ale w obydwóch jest wiele dowcipu, co najważniejsza nie obrażającego uczucia przyzwoitości, tak że można się uśmiać, zadumać a tem samem i nauczyć. Z rysunkowych szkic „*Tegocześni konkurenci*" szczególnie jest pomysłowy. Najmniej trafnym może jest „*Szlichtada po trotoarach w czasie ślizgawicy*". Wypadki przedstawione tam w karykaturze nie są wynikiem ułomności ludzkich, a sprowadzają ułomności a często i ciężkie kalectwa cielesne — a stąd na wyśmianie zasługiwać nie mogą.

— **Liwingston.** W Nr. 13-m *Opiekuna Domowego* z r. b. zamieściliśmy życiorys sławnego podróżnika i missyjonarza Dawida Liwingstona. W uzupełnieniu takowego widzimy się w obowiązku dodać: że podług wiadomości, jaką otrzymał p. Murchison Prezes Towarzystwa jeograficznego Londyńskiego, D. Liwingstone nietylko że żyje, ale i wraca do ojczyzny. Wiadomość ta jest zupełnie pewną i pochodzi z d. 4 Lutego r. b. od Dr. Kirka zamieszkałego w Zanzibarze, na wschodniem wybrzeżu Afryki. Dr. Kirk zawiadamia o tem na podstawie własnoręcznego listu samego Liwingstona, który d. 2 Stycznia r. b. znajdował w Bembie. Podróżnik ten spodziewany jest w Anglji przed zimą r. b. i oczekiwany przez wszystkich uczonych z wielką niecierpliwością.

— **Nowe zastosowanie korka.** Korka poczęto ostatniemi czasy bardzo często używać w Ameryce zamiast kauczuku, a mianowicie na resory do ciężkich wagonów i t. p. W tym celu najpośledniejszego gatunku korek moczy się w mieszaninie wody i patoki, skutkiem czego nabiera pewnej miękkości i wilgoci. Następnie rzną go w krążki 2 cale mające średnicy i każdy krążek przedziurawiają w środku. Odpowiednią ilość takich krążków wkładają do rury z żelaza lanego, kolumnę tę przykrywają żelazną przykrywką i nagniatają hydrauliczną prassą, dopóki wysokość kolumny o połowę się nie zmniejszy. Następnie przez rurę, krążki i żelazną przykrywę, przesuwa się oś ze wcięciem świdrowatem, osadza się muterka, wstrzymuje się ciśnienie i wyjmuje się gotowy korkowy ressor. Korkowi takie nawet nie szkodzi ciśnienie, któreby zupełnie kauczuk zniszczyło.

— **Olbrzymie działa.** Dotychczas za największe działo uchodziła armata francuzka ważąca 85,000 funtów, obecnie jednak Prussy przewyższyły pod tym względem Francją, dzięki olbrzymiemu działu Kruppa, które waży 112,000 funtów (z lawetą zaś i t. p. 200,000 f.). Pracowano nad niem dzień i noc przez 16 miesięcy, a metal z którego jest zrobione, kuł młot ważący około 3,000 pudów. Pomimo jednak jej wagi, skutkiem której musiano zbudować oddziel-

ny wagon na kolei żelaznej, wszystko tak jest urządzone, że dwaj ludzie mogą niem kierować z łatwością. Dotąd jednakz tego olbrzyma ani razu nie strzelano, gdy z francuzkiego dwa razy zwykłemi nabojami.

— **Manja starożytników** wyradza się częstokroć w śmieszność, jak tego dowodzą następne przykłady: w roku przeszłym sprzedawano w Paryżu zbiór trzewików poczynając od 1792 roku, w ilości 1,500 par najrozmaitszego kształtu, wielkości i koloru. W roku zaś bieżącym 10 Lutego ogłoszono sprzedaż kapeluszy z sześćdziesięcioletniego perjodu, które podług ogłoszeń mają nie tylko przedstawiać wielką rozmaitość co do kształtu, ale nadto i pod względem pamiątkowym, niektóre bowiem z nich miały należeć do ludzi znakomitych, inne do głośnych przestępców i t. d. Prawdopodobnie jest to jedna z tych reklam tak pospolitych w wielkich stolicach, wymierzona na kieszenie cudzoziemców.

KORRESPONDENCJE

OD REDAKCYI

Opiekuna Domowego.

— *P. Michałowi S.* Zdajesz się pan być obrażonym za nasze obcesowe zdanie wyrzeczone o pańskich poezjach i żądasz bliższego rozbioru. Odpowiadamy: Redakcja pisma nie jest szkołą, w którejby zadawała lekcje, takowych słuchała i każdemu z uczących się ojcowskie a długie dawała przestrogi; przeciwnie nie raz opędzać się musi, zwłaszcza przed tłumem tak zwanych poetów, którym się koniecznie chce zostać wieszczami, apostołami prawdy, otoczyć młodociane skronie wieńcem nieśmiertelności. Ludzie trzeźwego umysłu i większego doświadczenia, widzą w tem porywaniu się do wielkości, zmarnowanie czasu i zdolności, a oparci na rzetelnem przekonaniu, zdają się dopełniać obowiązku sumienia, jeżeli czasem zatną młodzieńczą butę bronią śmieszności, bo myślą, że tym sposobem zwrócą zaślepionych na inną drogę, na której mogą się stać rzeczywiście pożytecznymi członkami społeczeństwa.

Pański list do Redakcji prozą pisany, służy poniekąd za poparcie powyższego zdania. Widać w nim dosyć humoru i dosadnego a zwięzłego wysławiania się; z takiego materjału można coś dobrego wyrobić, i my pierwsi prosiemy o nadesłanie nam utworów w mowie niewiązanej, a mamy otuchę, że i z sobą się szczerze pogodzimy i czytelnikom naszym sprawimy przyjemność i przyniesiemy pożytek.

— *Panu Dołędze.* Szczerze dziękujemy za prawdziwe zajęcie się i rady dane Opiekunowi, które o ile sił starczy, będziemy chcieli w czyn zamienić. Co zaś do wydawania Opiekuna w obszerniejszych ramach i dwa razy na tydzień, uczynić tego nie możemy, dla bardzo licznych powodów. Przecież zawsze starać się będziemy, ażeby myśl poczciwa przewodnicząca nam od chwili ukazania się pierwszego numeru naszego pisma, coraz bardziej się rozszerzała i oddziaływała na czytelników, a mając ją na uwadze, Opiekun spełni swój cel. Będzie bowiem, wyrażając się oryginalnemi słowy listu pańskiego „nauczał wiedzy pragnących, leczył moralnie cierpiących, pocieszał gorzko płaczących, intrygował próżnujących, budził i rozrywał śpiących, karcił w djabełka grających, reflektował zbytkujących, to jest: szampana pijących, świeże ostrygi jedzących, w stroju modzie hołdujących, do bogiń wciąż wzdychających, dla nich fraszki kupujących, siwe włosy farbujących, szczęki gumą sztukujących, lawendą piżmem pachnących, za posagami goniących, głupio bez celu żyjących, opieki potrzebujących i t. d. i t. d.

— *Panu Z. L.* który się wspak podpisał: Zapytujesz nas Pan zapewne nie o poetę Kaczkowskiego, ale o powieściopisarza. Żyje on do dziś dnia, tylko że jakoś ucichł i zaprzestał utworów swoich drukować. Co zaś do żądania, kto jest p. *Walerja* autorka powiastki: *Kochać bliźniego jest naszą powinnością*, zamieszczonej w Przyjacielu Dzieci i kto jest Wołody Skiba, nie jesteśmy upoważnieni do odkrycia ich właściwego nazwiska.

— *Panu Zygmuntowi—Feliksowi prenumeratorowi Opiekuna.*— „Przygoda w Suzganie“ drukowaną być nie może z powodów zawisłych wyłącznie od tłumacza, który winien jeszcze czytywać więcej po polsku a mniej w obcych językach, aby nie używać cudzoziemskich wyrażeń, kiedy są lepsze i dobitniejsze polskie jak np. „*dałem ognia*“ i t. d. a nie „*spuściłem kurek*“; gdyż to wyrażenie oznacza nie strzał, lecz właśnie zaniechanie strzału.



Chleb Święto-Jański (do Strony 167-éj)

Podsłuchane gdzie się zdarzy.

(*na egzaminie w szkole elementarnej*).

I.

Pytający. Na ilu tablicach wyryte było Dziesięć Przykazań Boskich?

Uczeń. Na dwóch.

Pytający. Bardzo dobrze. A dla czego na dwóch?

Uczeń. Bo... bo... dla tego, że się na jednej nie mogły zmieścić.

II.

Pytający. Wiesz zapewne mój chłopczyku, że Noe przez niewiadomość zjadł szy za wiele winogron, upił się. Otóż opowiedz nam, co on po tym wypadku zrobił? pamiętasz zapewne, coż się dalej stało?

Uczeń. Tłukł garnki, wybijał szyby, przewracał stoły i stolki, krzyczał, wszystkich z domu powypędzał i .....

Pytający. Co, co ty mówisz? Któż ci to o tem powiedział? Kto cię tak nauczył.

Uczeń. A bo, proszę pana, każdy co się upije to tak dokazuje.

ANEGDOTY.

— Pięcioletniego chłopczyka strofował nauczyciel, a przy końcu powiedział: „zawsze a zawsze też same grymasy.“— „Niech się Pan nie gniewa, jutro będą inne,“ odpowiedział chłopczyk.

— Dla czego przykładu z mnożenia liczb wielorakich nie zrobiłeś dwoma sposobami, jak ci to zadałem, powiedział nauczyciel do 6-cio-letniego chłopca. Oto dla tego proszę pana; iż namyślałem się jak zrobić ten przykład *trzecim* sposobem.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.